

Teksty Drugie 1992, 6 , s. 147-154



# **Jerzy Edmund Jankowski (1912-1991)**

Andrzej Biernacki

# Pożegnania

## Jerzy Edmund Jankowski (1912–1991)

W okresie wzmagających się już natarczywie wezwań partyjnych, by się wzorować na stalinowskim modelu badań, lecz trochę przed utworzeniem Polskiej Akademii Nauk, można było w warszawskim Pałacu Staszica spotkać nader starannie ubranego pana z dobrze przystrzyżonym wąsikiem — godnego, spokojnego, bardzo służbistego; przy pracy używał granatowego płaszcza–fartucha, którym naówczas jeszcze się posługiwali księgarze czy archiwiści, mający przecież do czynienia z bibliofilskim, ale jednak kurzem. Postać pana Edmunda Jankowskiego (bo występował tylko pod swym drugim imieniem, „Jurerek” zawarowany został jedynie dla rodziny i dawnych kolegów) — otóż postać owa nie mogła nie przyciągać uwagi. Nieliczni asystenci zatrudniani w Towarzystwie Naukowym Warszawskim (w którym schronienie znalazło Korbutianum) do starszego — to znaczy dobiegającego czterdziestki! — kolegi odnosili się z poufałym respektem, za który on — zwłaszcza pannom — odwzajemniał się przystojnym żartem bądź delikatnie złośliwym cytatem. Natomiast wobec kuratora zbiorów, Juliana Krzyżanowskiego, nasz kustosz Archiwum Orzeszkowej przybierał w sposobie bycia tak dobrze z *Pamiętek Soplicy* znane zachowania szlacheckiego klienta, gdy ma honor przestawać ze swoim książęcym pryncypałem.

Bo też pochodzenie „robotnicze”, które sobie wpisywał do ankiety osobowej, było czymś w rodzaju sytuacyjnego dowcipu; Imię Jankowski nigdy nie zapominał, że jest szaraczkowym szlachcicem jak się patrzy, bo i po mieczu, i po kądzieli. Owe to właśnie swoje chudopacholstwo lubił niekiedy eksponować, aż do ponad potrzebę ustepliwości, gdy na

swej drodze spotykał utytułowanego (naukowo) posesjonata. Tym zresztą był pysznie skromniejszy im lepiej znał rzeczywistą wartość swej wiedzy i właściwego rozeznania rzeczy. Zapytany bowiem wprost — umiał się naczupurzyć i granic nie przekraczając grzeczności, wypalić prawdę w oczy. Chociaż prawie wydaje mi się pewne, że — swoje robiąc — wolał jednak milczeć.

Myślę też, że przedtem nie zawsze tak bywało. Edmund Jankowski należał do gatunku osób o mocnych i stałych wierzeniach oraz przekonaniach. Studia polonistyczne pod przemożnym kierunkiem Józefa Ujejskiego dobrze pasowały do zainteresowań religijnych młodego człowieka o silnych związkach z kulturą katolicką (jego brat, z czasem kanonik Kapituły Warszawskiej, był dużej miary znawcą muzyki kościelnej). Poświęcenie się badaniu i nauczaniu literatury stanowiło możliwość pracy na rzecz polskich wartości narodowych, które mu były wyraźnie drogie. Tutaj nie mogło dojść do nawet pośredniego kompromisu! Jako młody pedagog zaangażowany do słynnego gimnazjum w Rydzynie — zrezygnował z wyróżnienia, opuścił elitarną szkołę Tadeusza Łopuszańskiego i przeniósł się na warszawskie Bielany do ojców Marianów, byle móc młodzież kształcić w pełnej zgodności ze swymi ideałami. Nie zabrakło go też oczywiście na tajnych kompletach podczas wojny: wszędzie pozostawił po sobie trwałą pamięć wychowawców i uczniów.

Rodzaj życia wprowadzany przemocą przez ustrój nazywający siebie demokracją ludową był dla natur mimozowatych jeszcze nieznośniejszy niż dla innych, wprost niewysłowienie okropny. Magister Jankowski we wczesnym powojennym okresie zaznał był jakichś szykan, o których nigdy potem nic wyraźnego nie zdołałem zeń wydobyć. Nie musiały to być aż prześladowania, lecz pozostawiły ślad nie do zatarcia. Pan Edmund nie wrócił odtąd do publicystyki w pismach katolickich — chociaż wczesne jej próbki świadczą, że miał w tym kierunku nie sam talent, bo i temperament. Skóra, którą niełatwo zranić czy bodaj ukłuć, nie jest dana każdemu; zło wyrządzone przez dyktatorskie systemy trzeba też rozciągnąć na szkody nie tylko jednostkowe, lecz zarazem społeczne tam wszędzie, gdzie w grę wchodził los inteligentów, których kształtowały normy wychowania przedwojennego. Moda wśród młodzieży na *Czerwone i czarne*, wewnętrzne przyzwolenie na taktyczną obłudę, przyjęść miały znacznie później.

Do przystosowania się, zachowując godność, lepiej byli przygotowani ci, co z własnej młodości pamiętali zabory. Oni też niemal intuicyjnie wiedzieli, jak innych podtrzymać na duchu. Profesor Julian Krzyżanowski był właśnie jednym z takich. Przydatność naukową osób, z którymi go los zetknął, oceniał w mig i zazwyczaj trafnie. Za obowiązkami

dydaktycznymi nie przepadając, wyznaczał robotę, radą czy pomocą służył chętnie, ale jeżeli ktoś nie paprał — w szczególności się nie mieszał i do metod pracy nie wtrącał. Pana Jankowskiego złapał — jak sądzę — na haczyk jego przyjaźni z Ludwikiem Świdorskim; ktoś po nim musiał podjąć jego dzieło, zając się dalszym wydawaniem korespondencji Orzeszkowej, opiekować się archiwum pisarki. Edmund Jankowski interesował się innymi raczej tematami historycznymi, ciągnęło go też wyraźnie ku współczesności literackiej. Ale czyż się odmawia wezwaniu zwierzchnika? Zresztą i pozytywizm miał swoje ponęty: tak by wynikało ze świetnego, jeszcze sprzed wojny zapamiętanego wykładu Zygmunta Szweykowskiego; okres to za mało wciążyć spenetrowany, możliwości lektur, zwłaszcza ciekawej prasy, są nie do wyczerpania. Czytanie było pana Edmunda zapamiętaniem i rozkoszą — wszystko poza tym, nawet obowiązki (traktowane niebywale poważnie), nawet uczucia (przeżywane mocno), nie mówiąc o zwykleszych przyjemnościach (jak mecze sportowe); otóż wszystko inne stanowiło ledwie przedsmak tego, czym będzie... emerytura: możliwością zwiększenia porcji czasu na książki i pisma jeszcze nie poznane. O dzisiejszym biskupie Kraszewskim, swoim niegdyś najlepszym uczniu, wyrwało mu się kiedyś w rozmowie ze mną westchnienie: „I co też z niego w Kościele zrobili! Cóż mógł zeń być za polonista!”.

Tak więc profesor Krzyżanowski właściwie sobie dobrał współpracownika: miał w nim odtąd wiernego sekretarza i faktycznego zastępcę (z czasem — vice-prezesa) w Towarzystwie Literackim imienia Adama Mickiewicza, życzliwego krytyka swoich maszynopisów przed ich oddaniem do druku (żebyż jeszcze pracowite wykazy dostrzeżonych możliwości uzupełnień miał potem czas uwzględnić), miał i przyjaciela, trzymającego się przez skromność z dala, ale wiernie, o czym wiedział. Nie mówiąc, rzecz prosta o tym, że totumfacki główne swoje zadanie wykonywał gorliwie.

Edmund Jankowski stworzył z archiwum Orzeszkowej warsztat historia literatury wzorowy i w pewnym sensie idealny, bo dostosowany do potrzeb oraz przyzwyczajęń jednego tylko użytkownika — mistrza, którym był on sam; któż bowiem poza nim śmiałby tu coś majstrować. Jest to najwspanialszy pomnik, jaki badacz twórczości wystawić może pisarzowi. Lata a lata zejść musiały i zeszyły na porządkowaniu rękopisów, na zabieganiu o nabytki, na wywiadach z tymi, którzy jeszcze autorkę *Nad Niemnem* pamiętali, na docieraniu do nie ogłoszonych pamiętników (choćby Konstatego Skirmunta), na wyprasaniu od rodzin fotografii z kręgu przyjaciół i oczywiście korespondentów Orzeszkowej, na rozwiązywaniu aluzji w listach zawartych, na ustalaniu faktów biograficznych, na szukaniu (i znajdowaniu) pozacieranych śladów

w Grodnie i gdzie indziej — a to w czasach, kiedy w tamtych stronach świata pamiętki polskie budziły podejrzliwość władz. Tak powstało świetne opracowanie Orzeszkowej pism krytycznoliterackich, tak narastały tomy jej ważnej korespondencji (powiadam: ważnej; bo sam wnikliwy komentarz wydawcy bywa niekiedy dużo ciekawszy!). Toteż zaznawał pan Edmund cichej sławy u tych, którzy zeń robili sobie ściągawki do własnych prac (nie podając źródła swej nagle zdobytej wiedzy). Ale szczęściem — nie tylko tej i takiej sławy. Cieszył się rzeczywistym uznaniem najwyższych kręgów nauki — i to bez wyjątku. Dawał temu wyraz Pigoń, piękną pochwałę napisał Juliusz Wiktor Gomulicki. A i profesor Alina Witkowska, zajadły swego czasu rzecznik PZPR, popierała należne panu Jankowskiemu w Instytucie Badań Literackich awanse służbowe, gdyż bez jej sekretarskiego podpisu byłyby one były nie do przeprowadzenia. Wzajemny szacunek tych, co znają swój fach i mają pisarskie uzdolnienia, lubi się obracać przeciwko interesom partyjnym. W tych warunkach zdołał jakoś profesor Krzyżanowski wymóc na długoletnim magistrze, by stanął do rygorozów doktorskich, potem zaś doprowadzić go do habilitacyjnego kolokwium, które wypadło wspianale.

Edmund Jankowski miał dobre poczucie stylu, dostosowanego do swej własnej osobowości. Przede wszystkim dbał o rzeczowość tego, co drukowi powierzał. Odwoływanie się do sytuacji literackich — jedyne chyba ozdobnika, na który sobie dość często pozwalał — nie można uznać za wyjątek: dla tego człowieka bohaterzy na przykład *Przepióreczki* byli prawdziwymi ludźmi, nie postaciami ze sfery fikcji; gdy o kimś tedy pisał, że takie były jego obyczaje, szło mu — rzecz prosta — o wyrażenie w krótkim zdaniu tego, o czym się czytuje pod mianem żeromszczyzny. Przepadał za wypowiedzianiem się przy pomocy aluzji, „aludować” było też jednym z częstych słów, gdy się z nim rozmawiało... Ten wielokropek kładę tutaj na pamiętkę: pan Jankowski wyróżniał ów znak przestankowy, bo może być on w miarę potrzeby emfatyczny (jak choćby u Kleinera), ale głównie dlatego, że zawiadamia o niedopowiedzeniu. Ile właśnie takich niedopowiedzeń, by nie posunąć się za daleko, nie rzec czegoś, co by nie było „naukowe” — wie uważny odbiorca listów Orzeszkowej, o ile czyta je łącznie z aparatem dokumentarnym wydawcy. Do takich odbiorców zawsze — i to zapalonych — należał Jarosław Iwaszkiewicz; każdy tom wydania Jankowskiego obrastał nową korespondencją między wielkim pisarzem współczesnym a wielkim polonistą.

Działo się tak tym naturalniej, że Iwaszkiewicz — ze względów chociażby na swą tradycję familijną — powstanie styczniowe traktował zawsze jak coś wciąż bliskiego; Edmund Jankowski — uczestnik ruchu oporu pod

ostatnią okupacją niemiecką — na sprawy rozgrywające się w roku 1863 lubił patrzeć poprzez porównania z czasami, w których działał: toteż nie przypadkiem w monografii wymknęło mu się zdanie, że Orzeszkowa za naszych dni zyskałaby uprawnienia kombatanckie! W ogóle słownictwo potoczne łatwo przenikało do pojęć pana Edmunda (nawet i paskudny „krwiobieg” literacki!); mocno się zresztą zarzekał, że purystą być nie zamierza: tak był do późnych swych lat ciekawy wszelkich nowinek literackich, że i bez większych oporów przyswajał sobie przynajmniej niektóre spośród nowotworów języka.

Starsze, więc szacowniejsze nowinki szły doń same, gdy naturalnym porządkiem rzeczy — jako najlepszemu fachowcowi — powierzono mu omawianie działu *Listów* w „Roczniku Literackim”. Wyśmienicie oceniał historyczną wartość korespondencji, toteż szczerze podziwiał nie samych tylko nadawców, lecz i tych spośród adresatów, co to — jak mawiał — ciekawe listy umieją wywoływać. Nade wszystko jednak celował w krótkich psychologicznych portretach jednych i drugich. Cudze listy były mu rekompensatą przygód, których sam prawie na pewno nie był zaznał. Szczęśliwe życie rodzinne pozwalało mu z leciutkim rozbawieniem patrzeć na kochliwość Sienkiewicza (lecz ośmielał się mu przygadzać jedynie cytatem z poety, którego twórca Trylogii wyróżniał — z Sępa-Szarzyńskiego!). Niemal całkowicie podporządkowany swej żonie, osobie statecznej, z wyraźną fascynacją spoglądał na życie różnych awanturnic. Będąc pełen cnotliwości i skrupułów, nie popadał jednak ani trochę w mizantropię — owszem, przygody i zmienność losów wielkiej Solskiej śledził z pełnym wyrozumienia współczuciem. Tylko bodaj wyuzdańcom nie przepuszczał, więc też nie rozumiał zachwyty, z jakim Henryk Szletyński odgrzebał miłosne epistoły Junoszy-Stępowskiego.

Aż nadeszła tyle upragniona emerytura i — nie spełniły się oczekiwania. Pan Jankowski znał tylko swoje obowiązki, o prawa zabiegać nie umiał. Nie oglądał się na wynagrodzenie — biegły był w przypisach, nie zaś przepisach. Raptem się okazało, że lat pracy ma za wiele (gdy się uwzględni podwójne liczenie okresu nauczania podczas wojny), że więc — niech żyją prawnicy układający normy ubezpieczeń! — nie wszystko się wlicza do okresu wysługi. Mało tego, wyszło na jaw, że prace zlecone, które pilnie wykonywał dla IBL-u, też nie podwyższają renty. W sumie po pół wieku solidnej pracy dostał zaopatrzenie, z którego nawet skromnie utrzymać się niepodobna. Taki jest w Polsce los osób z tytułem profesorskim (o ile nie są ludźmi w porę zapobiegliwymi) — chociaż tytuł ten przyznaje się na równi ze stopniami generalskimi.

I wówczas — nie chcąc musieć korzystać z niczyjej pomocy, nawet swoich synów — pan Jankowski wziął się do pracy dla siebie do

niedawna prawie nowej: do reedycji słownika pseudonimów Adama Bara.

Reedycji — łagodnie powiedziane. W wykonaniu takiego redaktora wszystko musi być od początku przejrane dokładnie, sprawdzone, uzupełnione. W kwerendach przyszły z pomocą również inne poza Barową kartoteki, między innymi słynna Jana Józefa Lipskiego, który się pseudonimami rzeczywiście pasjonował. Wprędce profesor Jankowski stał się nie lada specjalistą w zakresie pseudonimologii i zwłaszcza pseudonimografii, znawcą okoliczności, w których aletonim przemienia się w anagram, może przybrać postać monachonimu, czyli hagonimu, stać się allonimem bądź alienonimem, zadowolić się asteronimem czy też prostym kryptonimem lub zgoła grafonimem, już nie wspominając, że i opunimem. Z rozkoszą prawdziwego filologa pławił się w rozpoznawaniu siedmiu grzechów głównych pseudonimiki (obawa, obojętność, ostrożność, pycha, skromność, złośliwość, wprowadzanie w błąd czytelnika) — nazwanie owych grzechów przejąwszy od Reiffenberga. Z Belgiem tym łączyło go traktowanie dokumentacji tak serio, że mowy tu być wprost nie mogło o zwykłej chęć zażartowania (bez żadnej złośliwości), chęć, z której ileż także i pseudonimów. Nie! Wiadomości na karcie tytułowej dzieła to sprawa poważna. Jak istotnie poważna, zaznałem kiedyś na własnej skórze, gdy Maria Dernałowiczówna w swej wybornej książce o Antonim Malczewskim zamiast mi za jakiś drobiazdek podziękować w odnośniku — pozwoliła sobie na niewinną a zabawną mistyfikację bibliograficzną. Pan Jankowski wytropiwszy „falszerstwo” rozsierzdził się, wręcz naindyczył. „Za coś takiego powinno się odbierać doktorat” — mrucał groźnie. A przecież poczucia humoru wcale a wcale pozbawiony nie był.

Miewał tylko — jak pewno każdy wybitniejszy człowiek — małe swoje dziwactwa. Na przykład: pisał (zwykle pelikanem) nie za wyraźnie może, z charakterem, ale nader porządnie i o ile nie drobno (w notatkach), to w zasadzie czytelnie; za to jego podpis! — ten się cały aż skręcał wśród pogmatwanych zawijasów. Nie pomogło, gdym kiedyś przyniósł i pokazał autografy (a były to listy!) czy to Leopolda I, króla Belgów, czy nawet kardynała Pacellego (w końcu papieża). Niech sobie inni kaligrafują, odpalili na poczekaniu, podpis to nie napis. I pozostał wierny tej swojego pomysłu kunsztownej płataninie liter.

Wśród takich to pogaduszek upływały lata w Pałacu Staszica, już nie na drugim piętrze, ale na niskim parterze, z dużym oknem na Świętokrzyską, przez które — idąc Nowym Światem od strony Alei Jerozolimskich — można było podejrzeć wiszącą na głównej ścianie pokoju olbrzymią fotografię starej pani Nahorskiej. Okno uchylało się od góry przy pomocy długiego kija, nieco podobnego do gasideł, jakimi posługują się

kościelni. Pan Edmund dorobił się wady serca, toteż nieustannie wietrzył i pracownie Orzeszkowej zdołał przemienić nieledwie w lodownię. Ale i tak gości tu nie brakło na bodaj kęs dobrze przyprawionej literackiej ploteczki.

Nagle wszystko runęło, pan Edmund chyba przeciągnął strunę swojej w pracy skrupulatności. Jak tylu namiętnych czytaczy — zaczął tracić wzrok. I gdybyż się to było stało przynajmniej z winy starych rękopisów! Jednakże owo jego wieczne podczerwienie oczu brało się nade wszystko z gorliwości do korekt: czwartej, szóstej — każdej było mu nie dość. Próżno przestrzegał doświadczony Pigoń, że z przesady w poprawianiu zecera rodzą się nowe zecerskie błędy. Ależ skąd! Ten upór i perfekcjonizm miał swą genezę może w tym właśnie, że nasz tu bohater synem był drukarza, na pewno równie zapamiętałego.

Profesor Edmund Jankowski odszedł oddawszy w wielkim porządku swe prace — by się tak wyrazić — obowiązkowe. Nie dopełnił tego, ku czemu się sposobił, a czego stosunkowo nieliczne ślady wskazują, co zeń był za wytrawny historyk polonistyki. Zostawił kilka ważnych szkiców: o Chrzanowskim, na którym z miejsca poznała się była Orzeszkowa; o Konradzie Górskim, z którym się przyjaźnił i wiele korespondował; o Zygmuncie Szweykowskim, którego podziwiał; no i naturalnie o Julianie Krzyżanowskim, którego wielbił tak, że mu darował nawet jego przejście na kalwinizm (boć przecie rzecz polegała nie na sporze religijnym). Najpiękniej pisywał o niedocenionych lub raczej — w życiu trochę przegranych: przykładem nekrolog Józefa Spytkowskiego. Jakim zaś wytwornym umiał być recenzentem tam, gdzie kto inny by nie wytrzymał i popisał się swoimi wiadomościami — niech mówią ci, których prace wypadło mu ocenić raczej ujemnie.

W prowadzonych na własny użytek zapiskach był znacznie surowszy, ale i to się wyrażało bez słownej złośliwości — jedynie wykrzykników i znaków zapytania przy cytatach było znacznie więcej. Podejrzewam, że upust swojemu dowcipowi dawał w dziennikach: odgrażał się, że je prowadzi, ale zarazem uprzedzał, że szyfruje. Szyfr to będzie, obawiam się, nie do rozwiązania: polega na myślowych jemu samemu wiadomych skrótach, na aluzjach do rzeczy, które tylko autor może zrozumieć, bo tylko on wie z pamięci, jak je rozwiązać. Tak mi wynika z rozmów, z podpytywań, jak też zapisze różne niedyskrecje, łowione chętnie. Jakem to już wspomniał — był przepłoszony czasami, na które przypadły jego najdojrzałe lata. Po roku 1956 został formalnie wezwany do współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym”, na którą miał ochotę. Nie skorzystał przez wzgląd na przyszłość swoich synów, którym — obawiał się — mogłoby to zaszkodzić na studiach i potem. Złym jego duchem



bywał Eugeniusz Sawrymowicz, lubiany kolega, któremu o wiele za dużo mówił i zanadto się z jego partyjnym zdaniem liczył.

Zeszło mi na wspominki, na odruch żalu, że nie wszystko, co miał być do powiedzenia, napisał. Bo reszta — dzieło życia pana Jankowskiego — rzeczy to tak znane, że oczywiste. Nie sprawdza się w odniesieniu do jego osoby powiedzenie, jakoby nie było ludzi niezastąpionych. Gdy się myśli o twórczości Elizy Orzeszkowej — jeszcze chyba długo nie wyjdzie się poza jego ustalenia i powinszować będzie można każdemu, kto zdoła odszukać nowe jakieś dokumenty. Tak samo jak nieprędko przyjdzie się oswoić z widokiem, że to jedno parterowe okno Pałacu Staszica jest obecnie stale zamknięte.

*Andrzej Biernacki*